

Pogawędka niedzielna

Pacyfizm z przekąską

Na powolność biegu dziejów nie można się obecnie uskarżać. Zdaje się, że kierownicy auta, gdzie umieszcili się wielce szanowna historia, obaj jakiś zwarjowany szofer i co chwilę dodaje gazu, nie zwalnając nawet na zakrętach...

Trudno! Udoskonaliliśmy środki lokomocji, ujarzmiłmy czas i przestrzeń, wobec czego zmieniła się również nasza psychologia. Niecierpliwimy się, chcemy przyspieszyć zbyt wolno toczące się zdarzenia. Mam wrażenie, że szybkość wypadków stoi w stosunku wprost proporcjonalnym do szybkości lokomocji.

Taki np. Ludwik XVI, chcąc ująć przed rewolucją, wpakował się wraz z rodziną do karety i toczył w ciągu kilku dni do Varennes. Gdy go poznano i zawrócono, cała rodzina królewska piekła się w rozprężonej karecie i omdlewała z wyczerpania równo dwa dni, zanim ujrzała stolicę.

Dziś byłoby inaczej. Najjaśniejszy pan wsiadłby do aeroplanu nocą, a już w dwie godziny później lądowałby zagranicą wśród wernych sobie emigrantów. Rankiem zaś prowadziłby wojska koalicyjne na Paryż... Mogłaby jednak zająć sytuacja inna. Naprzykład taka. W piętnaście minut po wystartowaniu króla — radio ogłasza nowinę o ucieczce. Wówczas wszystkie lufy karabinów wszystkich szanujących się rewolucjonistów wznoszą się w niebo i szukają na czarnym tle jasnego światła.

— Pif, paf! — jakiś szczęśliwiec ustrzelił królewski samolot. Kilka sekund i już cała rodzina uciekinierów leży roztrzaskana na ziemi. W ten sposób uniknęłyby się przewlekłego sądu, gilotynowania i innych niepotrzebnych ceregieli.

Tak, tak... Żyjemy dziś dużo szybciej oraz intensywniej, niż dawniej... Niektórzy skarżą się na to. Twierdzą, że ten pęd źle działa im na nerwy, że chorują, że są przewrażliwieni...

Ja nie! Dlaczego?... Prostu dlatego, że jestem szarym, lojalnym obywatelem państwa polskiego, a nie swarliwym lub zgola opozycjonistą. W gruncie rzeczy bowiem denerwuje nie pęd zdarzeń, lecz ich ocena. Jako szary, optymistyczny człowieczek wierzę, że wszystko idzie ku dobremu, że będzie coraz lepiej. Ustosunkowawszy się w ten sposób do rzeczywistości, współczuję ogromnie ludziom niezadowolonym, a wprost gardzę pesymistami i swarliwcami.

Bo i jakże?... Taki swarliwiec ciska się, żołędzie, biega po ulicach, wywijając rękami i krzycząc aż do zachrypnięcia. A co z tego ma? W najlepszym razie nic. W najgorszym? Ho, ho!... Przedewszystkiem może wpaść przez niewagę pod tramwaj, gdzie wcale

nie jest wygodnie. Jeśli Bóg go od tego ustrzeże, może wlecieć do Berezy, gdzie znów nie jest przyjemnie. Jeśli się i od tego wymiga, to zedrze nerwy na nie i dostanie szoku, albo ticków.

A ja nie! Ja sobie idę cichutko do kawiarni, dzwonię delikatnie na kelnera i zamawiam pół czarnej. Patrzę przez wielką szybę na ulicę, obserwuję tłum i rozbieganych zdenerwowanych swarliwców. Czując, że nad nimi góruję, uśmiecham się jeszcze szerszej i zamawiam gazety... Cichutko, w skupieniu wchłaniam wierszyk po wierszyku i jestem rad. Nie może być inaczej! Wszak wszystko idzie ku lepszemu.

Hitler w Reichstagu wygłosił taką mowę, że dwadzieścia kilka lat temu świat mógłby zadrzeć w posadach. Miarowemu krokowi wojsk, wmaszerowujących do państwa neutralnego, dawniej odpowiedziałby huk bomb i warkot śmigieł aeroplanów. Dziś nie! Dziś ten sam krok wywołał jako echo kilka świetnie skonstruowanych mów i pogroźki na przyszłość. Taki rezonans ozwał się na Zachodzie, u nas nawet mów nie wypowiedziano. Swarliwcy wpadają z tego powodu w gniew, podnoszą krzyk, dowodzą, że co dzień państwu zachodnim — to jutro

nam. Targają swe nerwy...

A ja nie! Ja wierzę święcie w to, co „stoi” w moich optymistycznych gazetach. Wierzę w słowa Hitlera, że choć mu przykro patrzeć na „korytarz”, nie zechce pozbawiać nas dostępu do morza. Wiem, że nie zniósłby widoku Polski, nie mającej własnego wybrzeża. On już jest taki tklivy.

Swarliwcy dowodzą, że słowa Führera można rozmać interpretować. W swym pyszałkowatym opozycjonizmie wywlekają takie fakty, że aż wstyd!... Mówią na przykład, że Wódz Niemiec zapewniał kilka tygodni temu, iż czuje niewypowiedzianą potrzebę zbliżenia się do Francji. Potrzebę serca, duszy... To uczucie tak w nim wezbrało, że 7 marca zbliżył się o cały... pas neutralny. Mówiąc to, swarliwcy aż się zachylają z oburzenia.

A ja nie! Ja otwieram sobie Kurjer Porański i czytam, że państwa Zachodu nie rozumieją psychiki niemieckiej, lekceważą potrzeby 65-0 milionowego narodu, a my Polacy właśnie rozumiemy i dlatego jest dobrze. Robi mi się na duszy błogo i przyjemnie. Słowa Schachta rozprzyskają się jak mgła, chrząprskie ulatniają się z pamięci, rodacy z za kordonu wydają mi

się przesadnymi plotkaczami...

Podnoszę filiżankę do góry. Czarny płyn gładziutko przepływa przez gardło — ciepły, wonny, słodki... Wyciągam nogi daleko pod stół i tonę w błogości. Pałę... Kółeczka dymu rozwiewają się coraz szerzej, dalej, subtelniej i toną w ogólnej sienie chmurze, wiszącej nad salą. Powoli opadają mnie marzenia i staję się pacyfistą. Już widzę tę nową Europę, jaką stworzy największy z pacyfistów świata — Adolf Hitler. — Przeczuwam środki, którymi dopełnię celu i podziwiam jego integralny pacyfizm z przekąską. Pacyfizm bowiem, jak każda wielka idea, uderza do głowy nby musujące wino. Zeby się niem nie upić, Niemcy lękają na przekąskę po ka i mowie Führera jakieś paragrafy traktatów. — Siedem punktów pokojowych to jest musujące wino pacyfizmu — strefa zdemilitaryzowana to przekąska.

— Nie będzie wojny! — myślę sobie. — Pacyfizm... Wino, wino, zakąski i pokój.

Ze strony pacyfistów bez przekąsek ukażą się noty. Po notach przyjdą protesty, orędzie, zastrzeżenia. A nad wszystkim liga, liga — ogólna, kolosalna, ligająca liga...

Dumny jestem, że i mój kraj w miarę swych skromnych możliwości przyczynia się do powstania nowej Europy i do rozwoju pacyfizmu z przekąską.

Marzenia przerywa mi czyjś ostry głos. W kacie kawiarni chudy, nerwowy pan zaperza się, gada, ciska, denerwuje, aż mu ciemne oczy palają.

Ja nie! Warto jednak postuchać, co wygaduje ten kościasty mizantrop, tarmoszący nerwowym ruchem gęstą czuprynę. Nadstawiam ucha i łowią poszczególne zdania:

— Niebezpieczeństwo!... Nie czas mędrkować... Przebudować ustrój... Pracy społecznej... Z rozproszkowanego społeczeństwa — stworzyć mocny naród o jednej woli i jednej idei...

Gwar w kawiarni się wzmacnia i reszta oderwanych słów ginie w nim całkowicie. Widzę tylko, że chudy pan nadal się gorączkuje i ciska.

A ja — nie!

Ja sobie równam w dół! Przenoszę mianowicie zlocista z górnej kieszeni kamizelki na blat stołu i płacę za czarną kawę. Następnie stabilizuję biedę... Złe się wyraziłem. To bieda mnie ustabilizowała, więc nie zamawiam ani ciastka z kremem, ani wody sodowej. Biorę do ręki pół-urzędową gazetę i znów się uśmiecham. Kolosalny spokój tej wyrazieli sfer miarodajnych wnika mi do duszy... Spokój, zadowolenie, błogostan...

Niech się tam inni denerwują. Ja nie!

Jan Waśniewski.

Z poezji

Bez etykiety

Tytuł Czyżewski wydał nowy zbiorek wierszy. W przedmowie nakleja sobie sam etykietkę futurysty — z dumą pioniera sprzed 15-tu lat „nowinek” poetyckich i z przekorą samotnika nie mającego oparcia i poparcia w obecne wpływowych sferach literackich. Ale Czyżewskiemu nie trzeba etykiety. Wystarczy, że jest poeta, że pisuje piękne wiersze, wiersze o dużej skali, od dziwacznych i bardzo osobliwych, jak np. „Hamlet w piwnicy”, do prostych i tak nadających się do spopularyzowania, że można by je włączać do wypisów dla młodzieży i kandydatów ludowych.

„W tolekańskiej katedrze Chrystus

[zakrwawiony]

pozbył się swojej cierniowej korony.

Toczył się po kamieniach korona

[cierniowa,

Schylili się ku ziemi Matka

[Jezusowa

Podniosła koronę Matka utraconą

i zakrwawione ciernie przyciska do

[lona

Nadleciała jaskółka z kraju dalekiego,

aby objąć Matce ból głębokiego,

nadleciała skowronki z pola

[zielenego,

by ulżyć męce serca Matczynego.

Nadarmo się kochani ptaszkiowie

[trudzi,

zbolelałem sercu Matki nie ulżyć,

bardziej nad ciernie, nad krwawiącą

[ran,

bolą Matkę gwoździe do krzyża

[wbijane...

cicho, cicho, nie bijcie skrzydłami,

w świat z krwawiącymi odcięciami.

Toż-to przecie pieśń pasyjna,

jakby z ust chłopskich gdzieś

w wiejskim kościółku spisana.

Prosta szczerza i czysta bije też

z uroczych pastorałek Czyżewskiego,

których folklorystycznym

podłożem są rodzinne jego strony

— Podhale. Primitywnizm ten nie

ma w sobie nic z irytującego żerowania

na ludowość, tryka kry

nierozum strumieniem, jak z wywierzysk

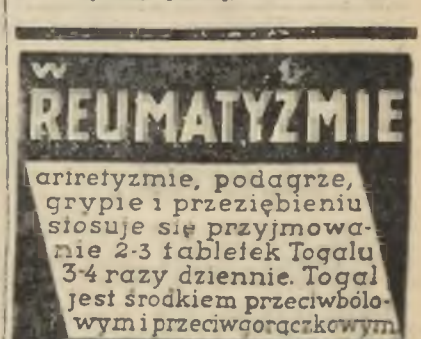
tatrzańskich. Do tegoż

rodzaju zaliczyć należy poemacik

o Lajkoniku, na czele zbioru,

wyrosły z folkloru Krakowa. Te

wiersze (odliczywszy wstęp i dwie enuncjacje teoretyczne) stanowią połowę tomiku i leżą chyba najbliższej źródła natchnień poety, które lepiej, niż zawarte w zbiorze artykuły prozą, określa wiersz



P. t. „Koń w chmurach“:
„Z kwiatów się to zaczęło,
Z róż czerwona i astrów,
Z łak pachnących i lasów,
Świerków wysmukłych i brzoś.

Galopował mój pegaz...
...koń w chmurach
Burzy włosennej...”

Z pozostałych utworów wyróżnia się cykl hiszpański, a wśród niego „Grenada”, „Corrida” i „Kwaciarka z Sewilli” oraz cytowana już pieśń pasyjna „Ptaki”; wreszcie kobieca, jak najlepsze wiersze Pawlikowskiej, ballada o Eulalii i jej trzech córkach.

Futuryzm, jako legitymacja poetycka, nie jest dla Tytusa Czyżewskiego koniecznością. Jest to jakby sztandar zszarpany w bojach, znienawidzony i ośmieszany przez jednych, przez innych uważany za przedmiot już muzealny, a przez poetę niesiony wiernie jako świadectwo lat burzy i napórów. Niechże on jednak nie przesłania nikomu oryginalnego czaru poezji, której — jak każdej dobrej twórczości — etykieta jest zbędna.

Władysław J. Piasecki.

*) Tytus Czyżewski „Lajkonik w chmurach”. Warszawa 1936 r. Gebethner i Wolff.

HUMOR

Z KATARU

— Skąd masz taki guz na czole?

— To z kataru.

— Nie zawracaj głowy!

— Ależ tak. Chciałem właśnie odczytać jakiś plakat, nagle zebrało mi się na kichanie no i palnąłem z całej siły głową w słup reklamowy.

JUŻ.

— Czy przeżywałeś już kiedy katastrofę kolejową?

— A jakże. Kiedyś w tunelu za miast córki pocałowałem matkę.

PRZED LATY W BERLINIE

Do tramwaju siada młody oficer, a że jest wielki upał, więc zdejmując czapkę i kładzie obok na ławce. Na następnym przystanku wchodzi jakaś niewiasta, a że tramwaj szybko rusza, więc pa-

sażerka, szarpnięta ruchem wozu, mimowoli siada na czapce oficera.

— Przepraszam bardzo — powiada zażenowana.

— Ma pani szczęście — mówi ów oficer — bo coś mnie kusilo dziś zrana, żeby wziąć pikelhaubę.

CHCĘ GO PRYZWYCZAĆ...

Żona widzi, że mąż dotyka buzi dziecka psem ogonem, więc woła oburzona:

— Co ty robisz najlepszego?

— Jutro przyjeżdża dziadek, chcę więc przyzwycząć naszego malca do jego pocałunków.

W RESTAURACJI

On: — Boję się, czy to wino nie zanadto poszło mi do głowy.

Ona: — Gdyby tak było, czułoby się ono bardzo osamotnione.

Z plastyki

Rzeźba i Grafika „Bloku”

W dziale rzeźby na Salonie Bloku, dwie najwyższe nagrody dostał A. Karny i Fr. Strynkiewicz, obaj za portrety: pierwszy — Noakowskiego, drugi — R. Mielczarskiego. Tak się składa, że obie te prace, bardzo dobre, dostarczają zarazem materiału do uwag, natury ogólniejszej, o współczesnej naszej rzeźbie, więc je do tego celu wykorzystamy.

Rzeźbiarz, jak wiadomo, operuje bryłą i może się niejdnemu wydawać, że jest poza nią, jako artysta, na inne rzeczy nieczuły. Wyobraźmy sobie jednak, że przy pomocy wielu silnych i w specjalny sposób ustawionych reflektorów, zdolnością usunąć z rzeźby wszelkie ślady światłocienia, który modeluje jej bryłę. Wówczas rzeźby poprostu nie będzie widać, choć pozostałe przecież tym samym przedmiotem. Wiedzą o tem doskonale rzeźbiarze i pracując, zarzucają wiaślawo wędę na światłocien. Na powierzchni bryły stwarzają szereg wklęsłości, płaszczyzn, lub głębszych i łapią w nie cień, który, skonstruowany ze światłem wypukłych partyj

rzeźby, modeluje jej bryłę i uwydatnia sens pracy rzeźbiarskiej. Operując tem efektem, rzeźbiarze umieją doprowadzić je do niesłychanej finezji i często, na ledwo obkutej bryle, technieniem cienia zaledwie wyznaczają z niej twarz. W niektórych wypadkach, by odtworzyć pewną treść wizualną, rezygnują z prawdy realistycznej, rezygnują z bryły i posługują się jedynie światłocieniem. Proszę sprawdzić, jak rzeźbiarze rozwiązują oczy. W oczodolach wielu twarzy rzeźbionych niem wale gałki ocznej, albo źrenicy. A mimo to te oczy patrzą, mało tego! — posiadają określony wyraz, który rzeźbiarz wydobyl chytrem łapaniem w te partyje takie, jakimi mu był potrzebny, światłocienia.

W portrecie Noakowskiego, Karny poszedł w tym kierunku jeszcze dalej i zrobił pełen śmiały eksperyment. Odstąpił od odtworzenia prawdziwego stanu rzeczy, prawdziwym ustosunkowaniem partii bryły do siebie, na korzyść sugerowania nam innej rzeczywistości, która w bryle na-

prawdę nie istnieje. Wyjaśnić có mam na myśli. Wszyscy wiedzą, że Noakowski miał słaby wzrok i nosił stale okulary. Te okulary tak były związane z jego głową, z wyrazem jego twarzy, że mając ją jeszcze żywą w pamięci, bez nich jej sobie wyobrazić nie możemy. Jak powinien rozwiązać sprawę okularów rzeźbiarz, portretujący Noakowskiego? Przecież między okiem, a szkłem okularów jest pusta przestrzeń. A więc rzeźbić oprawę okularów (szkła są niepotrzebne)? Albo włożyć rzeźbić prawdziwe szkła na nos? Trudno, takie sztuczki traktować poważnie.

Karny w Noakowskim związał okulary z twarzą w jedną bryłę. Gdyby na tem tylko poprzestał, byłby to ślepiec w okularach. To też Karny, na płaszczyźnie rzeźby, w tem miejscu, gdzie imituje ona płaszczyznę szkła, lekko za-markował oczy, czyniąc na szklach (kamiennych) nieznaczne wcięcia, delikatnie chłonec światła i cień. Logicznie rozumując powinniśmy uważać za absurd te oczy na szklach, ale pod względem artystycznym efekt został osiągnięty i wrażenie, że Noakowski patrzy z poza szkła jest zupełne. Oto wymowny przykład, wspomnianej przeze mnie na początku, roli światłocienia w rzeźbie, któ-

Michał Kondracki.

ry w tym wypadku okazał się użyteczniejszy, niż prawdziwa w stosunku do natury, plastyka bryły.

Popiersie R. Mielczarskiego, Strynkiewicza, sygnalizuje pomysłny zwrot w zbyt może jednostronnych obecnych tendencjach młodego rzeźbiarstwa. Od dłuższego bowiem czasu widzimy na wystawach rzeźby, których autorzy wykazują dużą kulturę rzeźbiarską, i jak to się chętnie mówi: „rozumienie bryły”, ale po- zatem nic, żadnej indywidualności, żadnej osobistej wizji plastycznej. Wszystko kubek w kubek podobne do siebie; X właściwie się nieczem nie różni od Y, a Y od Zeta. Bardzo to jest kulturalne, a razem wzięte — nudne.

Rzeźba Strynkiewicza, wolna od tego powierzchownego syntetyzowania, jest wnikliwym, wy-czuciem i b. dobrze przeprowadzo-nym studjum indywidualnego kształtu głowy ludzkiej, ze wszystkimi jej osobistymi cechami. Utrwalone tu zostały wszystkie szczegóły charakterystyczne, ale niema zbyt wielu. W rezultacie popiersie Mielczarskiego należy do najciekawszych portretów rzeźbiarskich, jakie się widziało ostatnio.

Sporo wyrazu ma głowa p. Z. Ł.

Nitschowej. Tej samej rzeźbiarki, lekko stylizowany portret pani Pruszkowskiej, jest tak podobny, że to nam trochę przeszkadza w ocenie walorów artystycznych. Mały „lew” z granitu, J. Klukowskiego, jest ciekawą próbą nowej interpretacji tego motywu dekoracyjnego (w architekturze i meblarstwie).

Na zakończenie muszę jeszcze wymienić figurkę w drzewie, Madonny, dłuta Trzczińskiej-Kamińskiej, przeznaczoną na ołtarz na statku „Batory”. Mała ta rzeźba, pojęta dekoracyjnie, ma dużo sentymentu.

W dziale grafiki, uświetnionej udziałem Wyczółkowskiego, pragnąłbym przedewszystkiem zwrócić uwagę na tych, którzy nie należąc do żadnych stowarzyszeń graficznych, rzadszą mają okazję do przedstawienia publiczności swych prac. Wśród nich Aleksander Rak wystąpił z szeregiem bardzo dobrych akwafort. Kwasy-ryty Raka, oparte w technice na studiach najlepszych majstrów, mają wyraźne zacięcia realistyczne, o czym świadczy i wybór tematów: scenek, podpatrywanych z życia (np.: „Praczi”, „Karciarze”). Za najlepszą pracę uważam rycinę p. t. „Praczi”, gdyż tu uwzględnione zostały również prawa kompozycji, w układzie ca-

łości, nie brane pod uwagę w pozostałych kwasorytach.

Byłoby dobrze, gdyby ta technika graficzna, o świetnych tradycjach, zaniedbana od czasów impresjonizmu, znów znalazła swych zwolenników.

Maria Jaroszyńska (drzeworyt „Zwiastowanie”) ma w ręku spory atut: łatwość operowania figurą ludzką, czego jej wielu grafików może pozazdrościć. Powinno się tylko wyżyć przykrej barokizacji kształtów i wprowadzić do swych rycin więcej ładów graficznych. B. Pisarkiewiczowi nadzwrot — przydałoby się trochę swobody ryłca, gdyż obok pewnych zalet, jego ryciny mają zbyt dużą suchość a raczej drukarską kaligraficzność.

Nestor naszego rytownictwa, Ignacy Łopieński, wystawił b. subtelne studjum portretowe, w suchorycie. Portret prof. L. W. dłuta Czerwińskiego, jest robotką szkolną.

Wreszcie niepodobna pominąć milczeniem nowych i świetnych prac. St. Chrostowski, w których niestrużony ten drzeworytnik poczynił dalsze postępy, unikając zbędnych popisów ryłca, poza obrysem ryciny i pogłębiając osobistą wizję artystyczną.

Wiktor Podoski